

Marcin Rusin

III nagroda w konkursie literackim „Racibórz prozą zaczarowany”

Nocna Podróż

Deszcz hulał w te swoje gierki z wiatrem uderzając na zmianę prosto w moją twarz. Pan Bóg poszedł spać już dobrych kilka godzin temu, latarnie świeciły tylko dla najwierniejszych ich wielbicieli, a ja szedłem w niewyjaśnionej sprawie przed siebie. Czas był moim sprzymierzeńcem, nie lubię ludzi i każdy kontakt z nimi mnie męczy. Niepotrzebne nikomu uśmiechy, niechciane rozmowy i sztuczne zainteresowanie. Daj spokój, całe życie wolałbym spędzić tylko z nią. Drugi raz zawracałem już żeby przejść tą samą ulicą. Chopina nocą idzie się niezwykle romantycznie, nawet w tej dalekiej romantyzmowi aurze. Światło delikatnie opada na kostkę brukową, która połyskuje w rytmie spokojnego snu. Miasto słucha cichego jazzu wystukiwanego na parapecie. Wiesz co to są nocne spacerzy, prawda? Przecież wiem, że tak. Kto nie wie. Smaku pierwszego pocałunku, zapachu wiosny nad Odrą czy widoku jej zmarzniętych policzków w marcu nie zapomnę nigdy. Graj mi młodości najpiękniej jak potrafisz, ja będę tylko słuchał. Gdy chcę marzyć wychodzę z domu. Od ulicy Długiej jest mi najbliżej do szczęścia. Ubieram lekką kurtkę, wkładam w największą kieszeń kilka łyków rumu żeby nie zmarznąć i płynę.

Tamtej nocy moje podróże ukradły mi już trochę czasu, jednak nie chciałem wracać jeszcze do domu. Dochodząc do Rynku zauważyłem jakiś cień pod drugiej stronie. Pierwszy człowiek przez całą tamtą noc. Zazwyczaj uciekam od nich jak najdalej, ale wtedy poczułem coś dziwnego. Może to była prosta ludzka ciekawość, a może niepokojące ukucie w duszy? Omijając pierwszy z ogródków piwnych podążyłem w stronę czarnej smugi na tle deszczu. Gołębie nie tańczyły po zmroku ptasiego walca, zwykły czekać na moim balkonie nad ranem. Nasze przekomarzania weszły już w tradycję dnia powszedniego. Dziś ich nie spotkałem. Już prawie biegnąc skręciłem tuż obok Kościoła Najświętszej Maryi Panny, na Skwer im. Ks. Pieczki i tam... zastygłem. Nie było nikogo, litrami wodę wpajał chodnik i to chyba on tutaj był tylko bardziej mokry ode mnie. Usiadłem. Fontanny strzelały nadal. Kim był?

- Hugo. Mów mi jednak tak jak każdy, Krzysztofek - głos za plecami wbił we mnie strach jak nóż.

- Zwariowałeś? - odpowiedziałem.

- Podobno już dawno. Różnie ludzie mówią - rzekł.

- Kim jesteś? Dlaczego uciekałeś? - zapytałem.

- Robotnikiem. Nie potrwa to chyba jednak zbyt długo - powiedział i wyskoczył zza ławki z wielkim uśmiechem.

Miał na sobie długi, przemoknięty płaszcz, czarne spodnie opadające na zniszczone buty i kapelusz. Wariackie spojrzenie i piękny uśmiech nie budziły zaufania, raczej zadawały milion pytań jak gdyby ktoś akupunkturę zastosował na zwojach mózgowych. Nie mówił chwilę nic. Zdjął buty, podwinął spodnie i wszedł ostrożnie do wody z fontann. Zaczął lekko podskakiwać, a już chwilę potem w najlepsze tańczył po kostki w wodzie, śpiewając przy tym zrozumiałe tylko dla niego piosenki.

- Chodź! - zawołał.

Mokry byłem już od godziny, a głupie pomysły wnikały we mnie jak ten deszcz budzący zafascynowanie. Wskoczyłem.

- Jestem tylko sobą. Zobacz jak łatwo być sobą, w środku nocy mogę skakać w wodzie! - wykrzykiwał - gdzie jest w Was radość? Radość i odwaga, by być szczęśliwym!

Dokładnie już wiedziałem kim jest. Nie miałem nawet garstki wątpliwości. Co ważniejsze, ja nawet nie chciałem nie wierzyć. To był on. Krzysztofek. Staliśmy teraz we dwóch, każdy z innego świata i biegaliśmy w wodzie ochlapując się nawzajem.

- Nasze życie jest inne - odpowiedziałem kończąc zabawę. - Wmawia nam się, że każdy musi być taki sam. Wiesz jak tęsknie za każdym rokiem, który mija? Każdy następny jest tylko gorszy. Mam przed oczami dzieciństwo, w którym wszystko było proste. Później rosły wymagania, z roku na rok coraz więcej obowiązków, terminów, ustaleń, zasad...

- Wyłam się poza ramy. Głusi i ślepi zawsze będą to piętnować, - powiedział Krzysztofek - ale

tak naprawdę w głębi serca oni są po prostu biedni. Biedni, bo bojaźliwi.

Wyszliśmy z wody i usiedliśmy na ławce.

- Jak żyjesz chłopaku? - zapytał.

- Nie rozumiem? Pytasz co w życiu robię?

- Pytam jak żyjesz. Dla kogo wstajesz rano i z kim zasypiasz, kto słucha z Tobą szumu drzew za oknem kiedy przeżuwasz kęs mięsa przy obiedzie, za kim tęsknisz i kogo w życiu już nie spotkasz? - dodał spoglądając w niekończącą się ciemność nad nami.

- Miałem osiem lat kiedy przyjechał cyrk do naszego miasta. Na Ostrogu rozstawili namiot. W szkole nie rozmawialiśmy o niczym innym od samego rana. Na trzeciej lekcji nasza nauczycielka weszła z plikiem biletów. Każdy dostał, ale była jedna zasada. W parze z dzieckiem musiał iść jeden przynajmniej dorosły. Mama pracowała. Siostry przeżywały już swoje pierwsze miłosne uniesienia, nie było ich w domu całymi dniami. Jego widywałem co kilka dni... Tak rzadko bywał wtedy w domu. Ktoś go widział jak żebra, ktoś inny jak zatacza się na dworcu. Wracał czasem cały brudny, bo złapali go gdzieś w bramie i kopali.

- Chodźmy tam - przerwał Krzysztofek.

- Gdzie? - zapytałem zdziwiony.

- Tam gdzie stał cyrk. Chodźmy, no już! - wstał i ruszył pewnym, choć śmiesznym krokiem.

- Jaki był? - zapytał po raz pierwszy dopiero gdy mijaliśmy Pomnik Matki Polki.

- Nie wiem do końca. Choć czasem myślę, że wiem doskonale - odpowiedziałem.

- O, tutaj mam z nim zdjęcie - wskazałem pomnik - szliśmy na spacer z wujkiem i kuzynką. Przez mgłę pamiętam ten spacer, miałem chyba ze cztery latka.

Krzysztofek szedł cały czas kilka kroków przede mną. Na moście podskakiwał, kałuże ochlapwały nas obu.

- Wiesz, że pamięć cenniejsza jest od złota? Od złota! - prawie krzyknął - Ha! Gdybym ja mógł kiedyś złoto dotknąć chociaż! - słowa jego pełne entuzjazmu rozdarły deszcz, a on zaczął śmiać

się wniebogłosy.

- Dlaczego jesteś tutaj ze mną, teraz? Skąd się wzięłeś? - zapytałem, ale odpowiedziało mi milczenie.

Kilkadziesiąt metrów dalej spojrzał na mnie i zapytał:

- Co to był za cyrk?

- Najpiękniejszy i największy z możliwych. Pełen kolorowych klaunów i dzikich zwierząt. Ze znakomitym prowadzącym i żywiołowo oklaskującą go publicznością! - odparłem.

- Nie wierzę Ci - powiedział.

- Ja sobie też nie. Nie wiem, nie pamiętam cyrku. Wiem, że z nim tutaj przyjechałem. Tam było wejście - wskazałem na środek parkingu przy Berlinioku.

- Ludzi było pełno. Staliśmy w kolejce trochę czasu, w końcu weszliśmy. Znalazł dla mnie miejsce wśród jakichś dzieciaków. Nim rozpoczął się spektakl powiedział, że musi na chwilę wyjść. Przytaknąłem tylko głową, byłem już zaczarowany tym co przede mną.

- Co dalej? - zapytał Krzysztofek i wskazał mi krawężnik abyśmy usiedli tuż przy parkingu. Coś zaczęło się dziać, słyszałem szum.

- Zamknij oczy, policz do pięciu i je otwórz - powiedział.

Zrobiłem tak jak kazał. Nim zdążyłem je otworzyć słyszałem już zwierzęta, ludzi, gwar. Byliśmy w środku namiotu.

- Mijały kolejne długie minuty, - kontynuowałem - a go nie było. Chłopacy obok pili colę, zajadali się popcornem. Strasznie chciało mi się pić. Od nieprzełykania śliny zaschło mi w gardle. Wtedy przyszedł - powiedziałem, a oczom moim ukazał się on. Szedł tak jak zawsze. Krokiem, którym chodzę ja. Ze spojrzeniem, którym patrzę.

- Nachylił się nade mną i zapytał czy chcę pić. Odpowiedziałem, że tak, nawet bardzo. Obrócił się i wyszedł. Minuty leciały dalej, spektakl trwał, ale mnie już na nim nie było. Wrócił po kilkadziesiąt minutach ze szklanką w dłoni. Zwykłą szklanką, w takiej rączce plastikowej,

każdy kiedyś taką miał. Powiedział, że miła pani z bloku obok zrobiła mu herbatę dla mnie.

- Ha, ha! Herbatę! Do cyrku! - zaśmiał się Krzysztofek.

- Wtedy się nie śmiałem! Była obrzydliwa! - odparłem ze śmiechem.

- Przedstawienie dobiegało końca. Wszedł dosłownie na ostatnią chwilę. Przecisnęliśmy się przez tłum i ruszyliśmy w stronę Rynku.

- Chodź - powiedział Krzysztofek, po czym wstał i ruszył zostawiając mnie na dwa kroki w tyle - idziemy!

Szliśmy tą samą drogą, którą już dzisiaj przemierzaliśmy, tylko w odwrotną stronę. Minęliśmy w ciszy Matkę Polkę, przecięliśmy Odrostradę.

- Tutaj się zatrzymaliśmy wtedy - wskazałem sklep na Odrzańskiej.

- Powiedział, że mam poczekać i wszedł do sklepu. Stałem tam może pół godziny. W końcu wyszło dwóch policjantów, którzy zaczęli coś szeptać o chłopaku w czapce. Miałem czapkę. Zapytali czy pan z zarostem to mój ojciec. Potwierdziłem. Poprosili żebym wszedł z nimi do środka.

- Co się stało? - Krzysztofek zapytał.

- On ukradł ser. Po prostu ser. Nie miliony, nie samochód czy biżuterię. Ser.

- Masz ci los - powiedział z ironią.

- Siedzieliśmy na zapleczu sklepu, on miał głowę pochyloną nad stołem, a ja rozmarzone oczy. Mimo wizji dożywocia za kratkami myślałem tylko o nieuniknionej przejażdżce radiowozem! Długo czekać nie musiałem, zaproszono nas na tylne siedzenia. Pojechaliśmy na komisariat.

- Koło tego wielkiego kamienia? - zapytał z dziecinnym wzrokiem mój kompan.

- Tak, idziemy? - odpowiedziałem.

- Idziemy.

Poszliśmy Chopina aż pod opuszczoną siedzibę Policji. Deszcz już nie padał, a pierwsze ptaki po

omacku ćwierkały wierszyki o porannej rosie.

- Siedzieliśmy tutaj chwilę, coś podpisał i mogliśmy iść. Stąd przeszliśmy całą Londzina, aż do Starej Wsi. W milczeniu, wiesz? Dopiero na Mariańskiej powiedział, że lepiej będzie jak złapię go za rękę. Taki trick, kierowców to rozczula. Widzą ojca z synem i się zatrzymują.

- Całkiem niezły pomysł - zamyślił się Krzysztofek - tylko nie mam syna.

- Ciebie też nie ma - dodałem obracając się w stronę domu.

- Krzysztofku... - zacząłem zdanie, obróciłem się z powrotem, ale go już nie było. I deszczu nie było, cyrku i noc już też uciekała. Zacząłem mówić więc do niej póki jeszcze mnie słuchała.

- Zapytałem wtedy taty czy powie mamie o tym wszystkim, bo jeśli nie to ja to zrobię. Obiecał mi, że tak. Chyba nigdy nie powiedział i ja też milczę do dzisiaj. Już wtedy był moim najlepszym przyjacielem. Moim ostatnim najlepszym przyjacielem - urwałem zdanie. Wróciłem do domu i przywitałem gołębice na parapecie. Świtało. Położyłem się spać.